TOMASZ KIERES

RUBIKON



Pierwsza powieść kryminalna Tomasza Kieresa

flow


RUBIKON

TOMASZ KIERES

RUBIKON

flow

Projekt okładki:
Paweł Panczakiewicz / PANCZAKIEWICZ ART.DESIGN – www.panczakiewicz.pl

Ilustracje w książce na podstawie okładki:
Andrzej Lademann

Redakcja:
Magda Paluch

Redakcja techniczna, skład, łamanie oraz opracowanie wersji elektronicznej:
Andrzej Lademann / komart.com.pl

Korekta:
Anna Żochowska

Wszelkie prawa zastrzeżone.
Żaden z fragmentów tej książki nie może być publikowany w jakiejkolwiek formie bez wcześniejszej pisemnej zgody Wydawcy. Dotyczy to także fotokopii i mikrofilmów oraz rozpowszechniania za pośrednictwem nośników elektronicznych. Zezwalamy na udostępnianie okładki książki w internecie.

Wydanie I, Gdańsk 2026

Copyright © 2026 by Tomasz Kieres
Copyright © 2026 by Wydawnictwo FLOW

ISBN 978-83-8364-210-9

Druk i oprawa:
Abedik SA

flow

Wydawnictwo FLOW Sp. z o.o.
ul. Potokowa 2/3, 80-283 Gdańsk
wydawnictwoflow.pl



Pierwszy

Trudno mi powiedzieć, ile czasu minęło od momentu, w którym o tym pomyślałem, do chwili, kiedy się znalazłem przed tymi drzwiami. Wydaje się, jakby to były miesiące, a tak naprawdę to lata. Od jakiego momentu nie dało się ze mną żyć czy – jakby to inaczej określić – zacząłem widzieć wszystko inaczej. „W czarnych kolorach", powiedziałaby bliska mi kiedyś osoba.

A czy istniały jakieś inne? Szarość dla balansujących gdzieś na granicy czy biel dla ludzi oderwanych od rzeczywistości. Trzeba być naprawdę odklejonym albo w bardzo silnej negacji, aby piać o szczęściu i uważać, że świat to jest wspaniałe miejsce.

„Możesz być szczęśliwy, tylko tego nie chcesz". Takie słowa słyszałem. No i jeszcze, że nie pozwoli się pociągnąć na dno, skoro jej udało się od niego odbić. To pierwsze nie było możliwe, a z tym drugim zgadzałem się w pełni. Nie miałem prawa nikogo ciągnąć za sobą, zwłaszcza kogoś, kto przeżył to, co ona.

To była moja droga.

I był już najwyższy czas, aby przejść od słów – a właściwie myśli – do czynów.

Ktoś musiał coś zrobić.

Jeśli ja nie zejdę do czeluści piekieł, to kto inny tam pójdzie?

Zabrzmiało pompatycznie, a nawet nachodzić się nie trzeba. Wystarczy wyjść na ulicę albo stanąć pod drzwiami. Powiedziałbym „losowymi", ale te tutaj losowe z pewnością nie były.

I może to nie był najmądrzejszy wybór z mojej strony, ale na wycofanie się było już za późno, gdyż w tym momencie drzwi gwałtownie się otworzyły.

Odór potu i stęchlizny uderzył w moje nozdrza. Z pewnością mnie to zaskoczyło, ale to i tak było nic w porównaniu ze zdziwieniem mężczyzny, który chciał opuścić mieszkanie. Tysiące razy wyobrażałem sobie ten moment. Zastanawiałem się, czy stres sprawi, że zastygnę w miejscu, czy może po prostu ucieknę.

Żadna z tych rzeczy nie nastąpiła. Zanim mężczyzna zdążył otworzyć usta, zareagowałem instynktownie i wyprowadziłem ćwiczony bez wytchnienia cios prosto w mostek gospodarza. To go momentalnie odrzuciło w tył. Opadł na kolana, nie wydając z siebie dźwięku, za to starając się za wszelką cenę złapać oddech.

Szybko wszedłem do środka, zamykając za sobą drzwi.

Mężczyzna nieporadnie próbował wstać. Był już na jednym kolanie, kiedy wyprowadziłem kolejny cios, celując w to samo miejsce. Nie sądziłem, że podniesie się ponownie. Nie był silny. Wiek i lata picia zrobiły swoje. To nie był ten sam człowiek co kiedyś.

Podniósł na mnie wzrok, nie wiedząc, o co chodzi i cofnął się w kąt.

Położyłem palec na ustach, tym samym nakazując mu ciszę. Pokiwał ze zrozumieniem głową, a w jego oczach czaił się strach. Nie rozumiał, co się dzieje, a strach, który kiedyś sam wywoływał, stał się teraz jego udziałem.

Rozejrzał się dookoła i wzruszył ramionami, sugerując, że przecież nie ma nic, co mógłbym ukraść.

– Kim jesteś? – spytał.

Nie odezwałem się i moje milczenie spotęgowało jego przerażenie.

– Czego chcesz? – ponowił pytanie.

Sięgnąłem do kieszeni, wyjąłem zdjęcie i podałem mu do ręki.

Przez chwilę patrzył na nie jak zamurowany, jakby całkowicie zapomniał o mojej obecności. To dało mi czas, aby się przygotować, tak aby nie zauważył, co zmierza w jego stronę.

Nie wiem, czy zdał sobie sprawę, dlaczego tutaj się znalazłem, ale nagle wstąpiły w niego nowe siły i spróbował się podnieść. Od razu zareagowałem, naciskając dłonią na jego usta, a kolano wbijając w ramię i blokując prawą rękę. W tym momencie zobaczył, że coś błysnęło w mojej prawej dłoni.

Strach wypełniał go całego. To było widać i czuć.

Zanim jednak zdążył się szarpnąć, dwadzieścia sześć centymetrów ostrza zanurzyło się w jego brzuchu. Pewnymi ruchami zadałem kilka kolejnych ciosów, a następnie jego bezwładne ciało osunęło się na podłogę.

Mężczyzna żył jeszcze kilka minut, a przerażenie nie zniknęło z jego oczu nawet na sekundę.

Dobrze.

Niestety, nie mogłem zabić go jeszcze raz.

KIEDYŚ

Świat to piękne miejsce.
Jak często możemy tak powiedzieć?
I nie chodzi o zachwyt nad naturą. Chodzi o to, aby ten zachwyt płynął z nas samych. Z naszego wnętrza, z naszej głowy. To ostatnie jest najtrudniejsze, gdyż tam powstaje niepokój czy lęk. Zarówno przed zagrożeniami realnymi, jak i tymi tylko wyimaginowanymi. Scenariusze, które nigdy się nie sprawdzą, potrafimy przerabiać na okrągło.
Ale gdyby się tego pozbyć. Gdyby trafić w miejsce, gdzie są tylko spokój i szczęście. Cholernie trudno to zrobić, ale jeśli…
Jeśli w końcu się uda i znajdziemy to, i poczujemy, to za nic w świecie nie będziemy chcieli tego miejsca opuścić.

Już w nim byłem.
Tego dnia i wiele dni wcześniej.
Dzięki nim.
Dzięki tej leżącej obok mnie i dzięki tej śpiącej w pokoju obok.
Wszystko było na swoim miejscu.
Zamknąłem oczy i wsłuchałem się w oddech mojej żony. Był spokojny i miarowy. Był taki, odkąd pamiętam. Ona zawsze mówiła, że to dzięki mnie, że podświadomie czuje, że jestem obok i stąd jej spokojny sen. Ja czułem podobnie, tylko że u mnie wiązało się to z przebudzeniem. Kiedy moje zmysły od razu działały na sto procent. Tak miałem od zawsze. Żadnych stanów pośrednich. Od razu byłem wybudzony, czujny, nasłuchujący odgłosów ich obu. Tak jakby miały zniknąć.
W moim przypadku to było parę sekund.
Parę sekund oczekiwania. Parę sekund napięcia.
Aby po chwili poczuć to pełne, niczym niezakłócone szczęście.
Niewyobrażalne.
Nic więcej nie miało znaczenia.
To właśnie czułem tamtego ranka.
Byłem w najlepszym możliwym miejscu.





Rozdział 1



Komisarz Bianka Kołodziejczyk opuściła budynek sądu. Chwilę wcześniej występowała w charakterze świadka prokuratury. Była pierwsza na miejscu przestępstwa i dokładnie wiedziała, co tam zastała. Sprawa wydawała się oczywista. Na miejscu znalazła ofiarę. Nie trzeba było jej badać, żeby stwierdzić, że była pobita i zgwałcona. Mąż z pewnością nie spodziewał się policji. Na szczęście poszkodowanej udało się sięgnąć po telefon i wybrać sto dwanaście tak, że jej kat tego nie dostrzegł. Bianka momentalnie obezwładniła sprawcę; ku jej żalowi nawet się nie stawiał. Tylko że ona nie była słaba i może to wyczuł, a może już wtedy miał plan.

Badania wykazały, że ofiara została wielokrotnie zgwałcona, również analnie, przez męża i dwóch jego kolegów, których nie znała. Pobrane ślady nasienia wskazywały na jednego sprawcę, ale odkryto również ślady pozostawione przez prezerwatywy. Wersja męża była zupełnie inna, stwierdził, że lubią z żoną ostry seks i sprawy wymknęły się nieco spod kontroli. W końcu on też miał ślady po uderzeniach. Ofiara się broniła, a według niego oboje sobie nie żałowali. Natomiast skruszony mąż nie miał pojęcia, skąd się wzięli ci koledzy w głowie jego żony, która przecież na wszystko się zgodziła. Kiedy jednak sprawa trafiła przed sąd, obrona wyciągnęła, że żona leczyła się psychiatrycznie. Prawda była taka, że wiele

lat wcześniej, jeszcze przed ślubem, który wzięli trzy lata temu, przyszła żona leczyła się na stany lękowe i depresyjne. Poważne, ale niewymagające hospitalizacji. Jednak przed sądem nagle urosło to do takich rozmiarów, jakby przynajmniej kilka lat spędziła w zakładzie zamkniętym. Obrona powołała również na świadków rodzinę męża, która jednym głosem, z matką na czele, wystawiła jak najlepszą opinię oskarżonemu i jak najgorszą jego żonie, która nie miała nikogo. Rodzice nie żyli, a rodzeństwa nie miała. W jej narożniku stała tylko przyjaciółka, zdaniem obrony bardzo podejrzana, gdyż pracowała jako barmanka w nocnym klubie. Tam też kiedyś zatrudniona była ofiara, dopóki królewicz na białym koniu jej nie uratował. Tak jak kochana mamusia podejrzewała, chodziło jedynie o omamienie biednego synka i położenie łap na majątku, który nie był wcale duży, ale czego mania wielkości nie robi z ludzi. Niestety, nie znaleziono żadnych dowodów na udział w zdarzeniu osób trzecich, a to podważyło całe oskarżenie.

Bianka nie miała wątpliwości, że ofiara mówiła prawdę. W swojej karierze przesłuchała bardzo dużo ofiar przestępstw seksualnych, może nawet zbyt dużo i doskonale wiedziała, kiedy ktoś kłamie. Jej wiara to jednak za mało, aby skazać męża. Dlatego żenujące było słuchanie uzasadnienia wyroku, który piętnował ofiarę, że marnuje czas wymiaru sprawiedliwości, bo „takie rzeczy załatwia się prywatnie". Oskarżony również został „pouczony", że może z pewnymi zabawami należy uważać. Dokładnie takiego słowa użyto. Zabawami.

„Zabawami", które uniemożliwiły ofierze wzięcie udziału w postępowaniu sądowym. Pod silnymi lekami przyjechała na ogłoszenie wyroku, żeby usłyszeć, że musi uważać, jak się następny raz pozwoli zgwałcić. Tylko przecież w Polsce coś takiego jak gwałt małżeński nie istnieje. Pewnie dlatego wymyśliła sobie tych kolegów.

Komisarz Bianka Kołodziejczyk zamknęła oczy i wsłuchała się w dźwięki miasta, które zarówno kochała, jak i mocno nienawidziła.

Wszystko, co najlepsze w jej życiu, tak jak i to co najgorsze, było z nim związane. Tutaj dorastała, tutaj postanowiła wprowadzać porządek i prowadzić przestępców przed oblicze sprawiedliwości.

Tak jak dzisiaj. Przed tę ślepą sprawiedliwość. Jej starsza siostra uwielbiała Metallicę, zwłaszcza płytę „…And Justice for All". I sprawiedliwość dla wszystkich. Jakże ironicznie brzmiały słowa wyrwane prosto z końcówki amerykańskiej przysięgi wierności, kiedy na okładce płyty Sprawiedliwość była po prostu ślepa. Jak często się okazywało, nie tylko na okładce muzycznego albumu.

Jednak musiała w coś wierzyć. Przestępcy musieli zapłacić. I jej zdaniem pozbawienie wolności było najlepszym na to sposobem. Wyroki mogłyby być większe, ale na to nie miała wpływu. W dni takie jak dzisiaj pojawiały się wątpliwości, czy miała wpływ na cokolwiek. Ona miała pilnować przestrzegania prawa i robiła to jak najlepiej potrafiła. To była jej praca i jej powołanie. Musiała tylko zdusić ten krzyk w środku. Takie dni jak dziś już były i jeszcze pewnie będą. Jej obowiązkiem jest sprawić, aby było ich jak najmniej.

„Nie patrz w przeszłość, to bagaż, którego nie potrzebujesz. Musisz iść do przodu", powtórzyła w myślach jak mantrę.

W tym momencie zadzwoniła jej komórka.

– Kołodziejczyk – powiedziała do słuchawki. – Już jadę.

Jedno było pewne, pracy nigdy jej nie zabraknie.

Dojechanie na miejsce zajęło jej pół godziny, było wyjątkowo pusto na ulicach stolicy. Inna sprawa, że tam gdzie jechała, dużego ruchu zwykle nie było. Stare zaniedbane kamienice, miejsca, w które jeszcze deweloperzy nie zdążyli wejść. To była jednak tylko kwestia czasu. I może dobrze. Inna sprawa: co się stanie z tymi ludźmi? Nie wszyscy tutaj byli pijakami i złodziejami. To już nie było jej zmartwienie. Jej siostra często powtarzała, że za bardzo się przejmuje wszystkim, zwłaszcza rzeczami, na które nie miała wpływu. Kaśka byłaby z niej dumna, gdyby zobaczyła, jak udaje się jej przezwyciężać frustracje i iść do przodu, toczyć kolejne bitwy.

Przed kamienicą zebrał się spory tłumek mimo środka dnia. Większość tutaj nie pracowała, a przyjazd policji może nie był czymś niezwykłym, ale zawsze to atrakcja i temat do rozmów na dobrych kilka dni.

Pokazała odznakę i ominęła policyjną taśmę.

– Drugie piętro – powiedział policjant w mundurze, starający się nie dopuścić chętnych do wejścia do budynku. To mogli być mieszkańcy, ale w tej chwili i tak musieli poczekać. Bianka przeszła przez drzwi wejściowe. Nie umknęło jej, że zamek pewnie od dawna był wyłamany, a po domofonie dawno nie został ślad, poza oczywiście pełną pajęczyn dziurą w ścianie.

Na schodach minęła techników w białych strojach.

– Już skończyliście? – spytała.

– Nie było dużo roboty – usłyszała w odpowiedzi, co tylko wzmogło jej ciekawość.

Przeskakując po dwa stopnie i uważając, aby się nie przewrócić na schodach, które najlepsze lata miały za sobą i na których były kałuże, pochodzenia których wolała się nie domyślać, dotarła do mieszkania.

Ze środka uderzył ją zapach stęchlizny. Ewidentnie nie wietrzono tu od dawna. Natomiast nie poczuła charakterystycznego zapachu rozkładających się zwłok. W swojej karierze widziała chyba każdy stan rozkładu. Tutaj jednak nic nie wskazywało, że coś takiego na nią czeka.

Czekał za to jej przełożony komendant Zbigniew Staszewski. To, że był pierwszy, nie zaskoczyło jej. Co prawda mógł zarządzać z Komendy Głównej, ale to zupełnie nie było w jego stylu. Uwielbiał pracę operacyjną i nigdy nie przepuścił okazji, żeby znaleźć się na miejscu zbrodni.

– Wracasz z sądu? – spytał na powitanie.

Bianka skinęła głową.

– Co tutaj mamy? – spytała, wchodząc do mieszkania.

Ostrożnie stawiała kroki, co było w tym momencie zbędne, gdyż jak widziała, technicy opuścili lokal. Jednak zawsze uważała, że pewne nawyki trzeba pielęgnować, aby zawsze być przygotowanym. To oczywiście nie pomagało w jej związkach. Zawsze uważna, zawsze czujna, żeby nie powiedzieć podejrzliwa. Tego ostatniego używał jej ostatni partner.

– No właśnie niewiele – odpowiedział Staszewski.

– To znaczy?

Bianka skupiła wzrok na olbrzymiej plamie dawno wyschniętej i wsiąkniętej w drewnianą podłogę.

– Krew – bardziej stwierdziła, niż spytała.

– Musimy poczekać na potwierdzenie, ale chyba nie mamy wątpliwości. Nikt soku nie rozlał.

– Czyja?

– I to jest dobre pytanie – powiedział przełożony.

– Nie ma ciała?

– Nie ma.

– Czyli w sumie może nie być trupa – stwierdziła. – W środku jakieś ślady?

– Poza ogólnym syfem, nic nie wskazuje, aby coś się tam wydarzyło. Oczywiście na potwierdzenie tego też będziemy musieli poczekać, ale myślę, że wszystko wydarzyło się właśnie tutaj.

– Ile tego może być? – Bianka wskazała na dużych rozmiarów plamę.

– Trudno określić, ale dużo, może być i ze cztery litry.

– Nie wszystko, ale z pewnością śmiertelnie – stwierdziła komisarz. – A inne ślady? Gdziekolwiek poza tą plamą?

– Na pierwszy rzut oka nigdzie. Jedynie tu na ścianie – pokazał miejsce nad plamą na podłodze. – Oczywiście w tym temacie też będziemy czekać na potwierdzenie, ale nie wygląda na krew.

Bianka popatrzyła na podłogę w stronę drzwi od mieszkania.

– Nic – usłyszała głos Staszewskiego.

– Czyli co? Tutaj ofiara się wykrwawiła, a następnie została wyniesiona, nie zostawiając śladów. I nikt niczego nie widział?

– Tego jeszcze nie zdążyliśmy sprawdzić, ale nadziei bym sobie nie robił.

– A jak w ogóle się tutaj znaleźliśmy? Skąd dowiedzieliśmy się o tym wszystkim? – spytała zaciekawiona.

Nie było ciała, które mogło się rozkładać, zatem nie było smrodu z tym związanego, chociaż czy on by przebił odór unoszący się w tym mieszkaniu? Kto więc to zgłosił?

– Anonimowa informacja: ktoś wszedł, zobaczył plamę i się zaniepokoił. Znaczy nie taka anonimowa, bo zadzwonił z komórki z polskim numerem, tak że jeśli nie jest kradziona, to lada chwila powinniśmy mieć informację, kim jest życzliwy bądź życzliwa.

– A wiemy, kto tu mieszka? Jest ktoś zameldowany?

– W tej chwili nikt. Generalnie ta cała kamienica jest w prywatnych rękach i pewnie prędzej niż później zaczną się eksmisje i renowacja. Bieżący rezydenci nie wrócą tutaj na sto procent – powiedział nadkomisarz lekko znużonym tonem.

Poziom empatii do społeczeństwa jako takiego już dawno zjechał u niego na dosyć niski poziom i o ile nie podobały mu się praktyki deweloperów, kiedy pozbawiano nagle domu rodziny, które szans na przyzwoite lokum nie miały, to był to problem władz i właścicieli, którymi najczęściej były firmy obracające milionami i dla nich tylko te miliony się liczyły. Świata nie zmieni, chociaż właśnie dlatego obrał taką, a nie inną ścieżkę kariery. Jak wielu przed nim i po nim. Jak choćby nadkomisarz Kołodziejczyk, która jak mało kto przypominała mu siebie sprzed lat i musiał przyznać, że jeśli chodziło o determinację, to wciąż miała tę samą, co dziesięć lat temu, kiedy u niego zaczynała. Mimo przeszkód rzucanych choćby przez wymiar sprawiedliwości, ona wciąż parła do przodu, a im większe były te kłody, tym z większą zaciekłością wracała do gry. Po dzisiejszej wizycie w sądzie spodziewał się, że jego podwładna ruszy z jeszcze większą wściekłością do ataku.

– Może coś po odciskach palców z mieszkania uda się ustalić – powiedziała.

Jej umysł już pracował na najwyższych obrotach. Z jednej strony ta sprawa nie wyglądała na taką, która mogła być katapultą do kariery, gdyż najprawdopodobniej chodziło o jakiegoś bezdomnego, a los takich prawie nikogo nie obchodził. Z drugiej, ona potrzebowała tej pogoni jak powietrza. Musiała czuć, że coś robi, coś zmienia. W świecie, który wydawał się zmierzać w dół, chciała być, może nie jasnym punktem, ale odrobiną nadziei. Poranki takie jak dzisiaj z pewnością nie pomagały, ale poddanie się nie było opcją. Była to winna siostrze.

– Może zacznę od sąsiadów – powiedziała do Staszewskiego.

– Poczekaj. – Podniósł palec do góry, odbierając jednocześnie telefon.

Po chwili się rozłączył.

– Mamy naszego informatora. Jeśli się nie mylę, mieszka piętro wyżej. Idziemy?

Bianka nie potrzebowała zachęty i energicznym krokiem opuściła mieszkanie.







Rozdział 2



Łukasz Zaniewski popatrzył na rozciągający się przed nim plac budowy. Tempo prac było oszałamiające. Raptem miesiąc temu wylewano fundamenty, a teraz ściany nośne były już praktycznie skończone. Czy za szybkością szła jakość wykonania? To nie był jego problem.

Zresztą nieważne, jak szybko budynek powstanie. I tak już został sprzedany. Właściwie na poziomie placu. Tak było i w tym przypadku, poza jednym wyjątkiem, który stworzył szansę dla małżeństwa stojącego przed nim.

– To będzie tutaj? – spytała podekscytowana kobieta i spojrzała na męża.

Przywołany uśmiechnął się, ale nawet uśmiech nie ukrył zmęczenia. Z tego, co Łukasz wiedział, mężczyzna poza normalną pracą w korporacji dorabiał jeszcze, udzielając korepetycji z angielskiego. Z wykształcenia był filologiem, ale zaraz po studiach zaczepił się w firmie ubezpieczeniowej, w marketingu, i tam już został. Żona pracowała na państwowej posadzie w urzędzie dzielnicowym i zamarzył się jej domek z działką. Najlepiej gdzieś niedaleko centrum, żeby wszędzie było blisko. Warto wspomnieć, że małżeństwo miało również dwóch synów w wieku dziesięciu i ośmiu lat i bardzo przyzwoite siedemdziesięciometrowe mieszkanie obarczone kredytem na trzydzieści lat. Dziesięć już spłacone.

– Będzie, jeśli pospieszycie się z decyzją. – Niby nie musiał tego mówić, ale to zawsze działało.

Zaniewski w tym przypadku nie kłamał. Na ten jeden segment w rzędzie dwudziestu innych już była kolejka chętnych. Zresztą, jak się ta budowa skończy, zaraz obok ruszy następna i następna. Mężczyzna nawet nie był potrzebny, ale lubił trzymać rękę na pulsie i zawsze miał klientów, których ku ich radości nazywał specjalnymi i potrafił wyłowić taką „perełkę". A co do kolejnych budów, to gdzieś w urzędach decydenci wzięli grube pieniądze, aby zgody i warunki zabudowy zostały wydane praktycznie z dnia na dzień.

– Bierzemy, oczywiście, że bierzemy. Kochanie? – Spojrzała pytająco na męża.

Wyglądało na to, że „kochanie" zrobi wszystko dla swojej żony. Nawet jeśli wiązało się to z nowym kredytem, na który pewnie nie było ich stać, ale zawsze mieli kawałek kapitału w mieszkaniu. Łukasz nie sądził, aby to był za duży kawałek, a ten stan deweloperski segmentu trzeba będzie jeszcze wykończyć, ale małżonka zdecydowanie miała ambicje. Wiedział to stąd, że już parę miejsc objeździli od domów wolnostojących po działki pod takie domy. W tamtych wszystkich przypadkach nawet żona wiedziała, że to było poza ich budżetem, ale przecież każdemu wolno marzyć.

– To jak będzie z tym kredytem? – spytał mąż takim głosem, że przez moment Łukaszowi zrobiło się żal mężczyzny.

– Proszę udać się do biura i tam koleżanka wszystko powie. W biurze jest stanowisko inspektora kredytowego, który załatwi wszystkie formalności. Jeśli nie będzie problemów, całość nie powinna trwać długo.

– Ale to będzie już nasze? – Żona wskazała na mury budynku.

– Tak, ten segment jest dla państwa zarezerwowany. W biurze proszę podać moje nazwisko.

– Czy będzie potrzebny jakiś wkład własny…? – spytał jeszcze mąż.

Łukasz nie wiedział, czego od niego oczekiwano.

– Szczerze mówiąc, nie wiem, tego się państwo dowiedzą w biurze, a nie chciałbym wprowadzić państwa w błąd. To chyba zależy od konkretnego przypadku, zabezpieczeń i płynności finansowej, ale jak mówię, wszystkie te informacje przekażą państwu w biurze.

Zanim zdążył skończyć, żona szybko wtrąciła.

– Nawet jeśli, to nie ma żadnego problemu, załatwimy wszystko, co trzeba.

To stwierdzenie nieco zaskoczyło męża, który starał się ukryć emocje.

Szybko się pożegnali i – jak się domyślił Łukasz – popędzili do biura.

Właśnie szedł do swojego samochodu, kiedy na coś, co było umownym parkingiem, podjechał najnowszy i z pewnością najdroższy model Audi. Ze środka, z miejsca pasażera, wysiadł nikt inny, tylko Słomczyński junior, a dla znajomych Jan. Nie lubił zdrobnienia Janek, gdyż uważał, że odbierało mu powagę. Jego ojciec, człowiek, który zbudował to imperium deweloperskie, nie miał z tym problemu i może właśnie w tym tkwił nomen omen problem. Na Słomczyńskiego juniora zawsze patrzono przez pryzmat ojca, a przynajmniej on tak uważał.

– Cześć, Łukasz – powiedział jowialnie Jan.

Wszystko, co robił, robił w ten wylewny, nieco przytłaczający sposób. Łukasz był pewien, że dostał taką radę od jakiegoś drogiego specjalisty od relacji międzyludzkich. Wszystko, co robił Jan, było wcześniej przygotowane.

– Cześć, Jan.

– Co ty, w detalu robisz?

Jan spojrzał w kierunku, gdzie zniknął samochód przyszłych posiadaczy segmentu.

– Żadna praca nie hańbi – odpowiedział Łukasz.

– A żadne pieniądze nie śmierdzą. – Roześmiał się Jan, wyraźnie zadowolony ze swojej riposty.

„No tego to akurat nie jestem pewien", pomyślał Zaniewski, ale zachował tę uwagę dla siebie.

– Miałem tych klientów od jakiegoś czasu i szukali czegoś na miarę swoich możliwości.

– Gdyby ludzie kupowali tylko na miarę swoich możliwości, to bylibyśmy bez pracy. – Jan ponownie wybuchnął śmiechem.

Własne żarty zawsze bawiły go najbardziej, a dzisiaj najwyraźniej miał fazę.

– Jesteś w doskonałym humorze – zauważył Łukasz.

Najchętniej już by pojechał, ale chwila kurtuazji nikogo nie zabiła.

– Ano tak, dopinam taki jeden interes w okolicy.

– Znowu jakiś chciwy burmistrz chce zamienić las na osiedle czworaków? – Łukasz nie mógł się powstrzymać od komentarza.

Niewiarygodne, jak wielu było takich burmistrzów, a za nimi koledzy i jeszcze inni koledzy.

– He, he, dobre. – Zaśmiał się Jan nieszczerze. – My jesteśmy tam, gdzie nas potrzebują. Popyt i podaż, kojarzysz zasady. W końcu na czymś zarabiasz i to bardzo dobrze. I właśnie dobrze, że cię spotkałem. Czterdzieści kilometrów na wschód od Warszawy kupiliśmy kawał terenu, były tam stare zakłady. Władze miasta sprzedały je po dobrej cenie i teraz my musimy pchnąć je dalej. Trzeba się tylko rozeznać, jak to zrobić najlepiej. Nie będę cię uczył roboty. Znajdź mi dobrego kupca i tyle. Zainteresowany?

– Pewnie, przyjrzę się. Powiedz, żeby przesłali mi namiary.

Łukasz nie był pracownikiem Jana. Tak na dobrą sprawę nie był niczyim pracownikiem. Natomiast współpracował z wieloma na zasadzie wolnego strzelca. Przez lata wyrobił sobie markę i znajomości, i potrafił sprzedać niesprzedawalne.

– A co tam u Moniki słychać? – spytał Jan. – Ach, no tak, zapomniałem, że przecież wy…

– Tak, jesteśmy rok po rozwodzie – Łukasz z trudem wytrzymał, aby nie przewrócić oczami – ale słyszałem, że dobrze.

– Rozwija się w jodze czy coś takiego, Helena wspominała. Jakieś treningi mentalne, jakaś tam joga.

– Hormonalna. Rozwija się cały czas. – Łukasz pomyślał, że czas skończyć tę rozmowę.

– To dobrze. Chyba.

– Bardzo dobrze, zawsze tego chciała, iść na swoje i robić to, co lubi.

– No tak, no tak. Cieszę się, że jej się układa – stwierdził Jan, ale widać było, że myślami już był gdzieś indziej.

Możliwe, że przy trzech samochodach, które właśnie podjechały i stanęły koło jego audi. Kolejne warte setki tysięcy modele, tym razem same mercedesy. Tyle że z nich nikt nie wysiadł. Nie wyłączono również silników.

– Będę leciał – powiedział Łukasz – prześlij mi te namiary.

– Jasne.

Jan uścisnął dłoń Łukasza, który wsiadł do swojego samochodu i odjechał. Dopiero wtedy, jak na zawołanie, otworzyły się drzwi jednego z samochodów.





Nasze książki kupisz na stronie:
sklep.wydawnictwoflow.pl



Książki z serii Dobre myśli kupisz na stronie:
sklep.wydawnictwoflow.pl



flow

wydawnictwoflow.pl

Stracili tych, których kochali.
Patrzyli, jak winni odchodzą wolno.
Teraz nie zamierzają już czekać na sprawiedliwość.

Gdy system zawodzi, ból zaczyna zmieniać się w gniew.
Oni wiedzą, czym jest strata, której nie da się zapomnieć
i bezsilność, kiedy ludzie odpowiedzialni za tragedię unikają kary.

Dlatego podejmują decyzję, po której nic nie będzie już takie samo.

Plan miał być prosty: odnaleźć winnych i wymierzyć im karę.
Ale zemsta nigdy nie kończy się tam, gdzie powinna.
Każdy kolejny krok wciąga ich głębiej w świat, w którym granica
między sprawiedliwością a zbrodnią niemal znika.

**Mroczna, pełna napięcia opowieść o stracie, odwecie i cenie,
jaką płaci się za wzięcie sprawiedliwości we własne ręce.**

W sprzedaży także:

ebook audiobook

Patron medialny:

Kawiarenka Kryminalna.pl

Cena 54,90 zł

ISBN 978-83-8364-210-9

9 788383 642109